

ZIARNO



Rys. Stanisława Witkiewicza,

ANNA JAGIELLONKA.

Katechizm narodowy.



Coraz silniej biją fale wrogie w naszą nawę ojczystą. Coraz trudniejszy byt i chleb, coraz groźniejszy prąd podrywa nasze stanowisko narodowe i duchowe. Z wszystkich stron rozlegają się głosy rozpacz i zwątpienia: Galicja w nędzy, Królestwo bez oparcia, Wielkopolska pod grozą nowej ustawy krzyżackiej. W pierwszej i drugiej połaci wydierają nam chleb powszedni i czystość ideałów polskich żydzi — w trzeciej czynią to samo hakatyści. Znikąd pomocy i ratunku.

W takim położeniu zwraca się myśl najpierw do codziennych potrzeb materialnych. Bo duchowo pracować i tworzyć może tylko społeczeństwo, oparte na dobrobycie, na względnych chociażby podstawach ekonomicznych. Aby je dać narodowi naszemu, trzeba spełnić cały szereg przykazań, obowiązujących każdego i wszystkich, bez względu w jakim żyje stanie, w jakich obraca się warunkach bytu doczesnego.

„Ochrona przemysłu rodzimego“ w Limanowej, w Galicji, wydała część katechizmu narodowego, dotyczącego jednej z najważniejszych gałęzi naszego posiadania ekonomicznego. Sprawa obchodzi całą Polskę, słusznym więc jest powtórzyć tutaj treść odezwy, rozszerzanych wśród ludności galicyjskiej. Chociażby tylko każdy dziesiąty rodak, który przeczyta te słowa, zastosował je w życiu, cel zacnego pomysłu będzie osiągnięty. Resztę zrobi dobry przykład.

Odezwa głosi:

1) Oto naród twój w biedzie, a setki tysięcy polskich robotników z Królestwa i Galicji pracują przez 10 miesięcy w roku w Niemczech dla braku przemysłu w Polsce, wzmacniając potęgę narodu, który zaprzysiągł zagładę twojemu narodowi. — Cóż więc masz czynić?

2) Poznaj dobrze, co w Polsce już teraz się wytwarza z tego, co ci potrzeba, abyś się nie dowiadywał o tem zapóźno, t. j. po kupnie, i aby ci się nie trafiło, że kupisz wytwór rodzimego przemysłu za granicą lub w kraju z marką zagraniczną.

3) Staraj się przewidywać naprzód, co będziesz potrzebował kupić, abyś miał czas wyszukać ten towar w Polsce i sprowadzić go sobie w czasie właściwym. Wyćwiczysz przytem swoją wolę, wytrwałość i powściągliwość; wzmocnisz swój charakter.

4) Powiedz sobie: „Chcę, aby każdy, wszedłszy

do mego mieszkania, widział odrazu i z wszystkiego, z każdego sprzętu, materiału i rysunku, że jest u polaka“.

5) Nie mów: „U nas nic ucziwie nie potrafią zrobić“. Jeżeli bowiem jest to prawdą, to i twoja robota niewiele jest warta, może nawet zgoła licha. Bądź więc wyrozumiały dla swoich rękodzielników; nie bądź natomiast bardziej względem nich wymagający, niż jesteś względem obcych.

6) Nie zniechęcaj się, gdy otrzymasz towar w kraju niezupełnie dobrze wykonany, nie szukaj zaraz źródła obcego. Napisz do wytwórcy, ostrzeż go; potem ogłoś publicznie, jeżeli ci nie udowodni, że nie może lepiej zrobić, — a może to wpłynie na jego dobrą wolę.

7) Oby na wytworach przemysłu rodzimego wycisnęła swe piętno sztuka! Wówczas szybko obudzi się u rodaków twoich umiłowanie swojszczyzny.

8) Przyzwyczajaj dzieci do myśli o przemyśle rodzimym. Chłopiec, który przyzwyczał się zawsze żądać atramentu, piór, ołówków, zeszytów, bibuły, gumy, papieru z fabryk krajowych, później, jako skaut — sukna, kapelusza, obuwia krajowego — wyrośnie na człowieka, który z niechęcią i wstrętem będzie odrzucał odruchowo obcą tandetę czy wogóle towar obcy.

9) Nie mów, że dla wyzyskiwanych przez kapitalizm robotników wszystko jedno, czy będzie ofiarą rodzimego, czy obcego kapitalizmu, bo tak nie mówi ani Niemiec, ani Anglik, ani Francuz, ani Czech, ani Włoch, chyba Żyd, który nie ma ani ojczyzny, ani narodu.

10) Przystępuj do spółek spożywczych, sprowadzających dla stowarzyszonych towar ogólnej potrzeby, gdyż tam najprędzej możesz się z tem spotkać, najłatwiej możesz na to wpłynąć, że będą sprowadzali towar, w kraju twoim wytworzony.

11) Nie zapominaj, że jest przemysł rodzimy, to znaczy polski, w Galicji, Królestwie i Wielkopolsce istniejący. Nie znalazłszy, czego ci potrzeba, w jednej dzielnicy, szukaj w dwu innych.

12) Tak postępując, sprawisz, że pół miliona rodaków twoich nie będzie siłą swej pracy wzmacniać potęgi wroga swego narodu, Niemca i Żyda, a w duszy twej zakwitnie kwiat nowego uczucia: umiłowanie swojszczyzny.

Oby słowa te trafiły także do serc czytelników „Ziarna“ i okazały się skutecznymi w czynie!

T. W. J.



Że mam u ramion smutku skrzydła czarne...



Że mam u ramion smutku skrzydła czarne,
W oczach zadumę zgonu i zwątpienia,
I że mam życie słabe i że garne
Się w klątwę marzeń i cierpienia,

To mi na świecie źle i ludzie tacy marni
W słońcu padają,
Jak białą zgrają
Jabłoni kwiat na darni.

I nie wiem, czy mi żyć tak dalej na tem niebie
Gwiazd moich roziskrzonych myśli i objawień,
I czy patrzeć w zachodu łzy pełne zakrwawień
I czegoż szukać jeszcze dzisiaj wokół siebie?
Czy też przekleństwo rzucić w bezdno jeszcze dali,
Po raz ostatni wkołysać się w słońce,
Wchłonąć wilgoć łąk rosnych, południa gorące,
Runąć, a świat tem słońcem niechaj się przepali.

Zresztą i późno już wywlekać jakieś mary
Nieszczęśliwego szczęścia, ukojenia,
Bo gdym pierwszy raz dojrzał moich gwiazd promienia,
To choć smutku nie było we mnie, nie stało i wiary.

W PUSTYNI..



W pustyni dwoje ludzi marło od pragnienia
Przytulonych do siebie wyschłemi wargami,
Zamierające oczy słonity się snami
Nadzieji niewyśnionych życia objawienia.

I była dziwna tragedia beztroski
Na odludziu tych dwojga uschniętych od żaru —
Słońce wschodziło zwolna, gdzieś z chmurnego czaru,
Oświecając leniwie z chmur tworzone wioski.

A pustynia wokół była tak daleka,
Tak wizyjna w pustkowiu swoim i gorąca,
Że w widmie czasem padła jakaś wiosna wrząca
I na chwilę się wzniosła radością powieka.
Ale to złudy były, tymczasem martwota
Otoczyła w uścisku dwa uschnięte ciała,
Noc zeszła na pustynię tumanna i biała
I zaczęła się orgja zwierząt i pieszczota.

Mówią, że na dzień drugi, gdy w nowe olśnienia
Padło słońce, to źródło wytrysnęło chłodne,
Siado lwów wypłowiłych dziś już nie jest głodne,
Ani mrze teraz w słońcu uschnięte z pragnienia.

Józef Węgleński.

Nowy Jork pod śniegiem.

Gdy do nas wiosna zagląda coraz śmieiej, z drugiej półkuli stale napływają wiadomości o burzach śniegowych, które naprzykład dla Nowego Jorku stały się katastrofą.

Według podręczników szkolnych, klimat oceanu w przeciwieństwie do kontynentu, wyróżnia się łagodnością zarówno w lecie jak zimie, ale malcy amerykańscy, nauczeni doświadczeniem, śmiało urągać mogą tego rodzaju spostrzeżeniom naukowym, sprzeciwiającym się rzeczywistości.

Nowy Jork ściśle przylegający do morza, z wszystkich stron wodą otoczony, w lecie jest rozpalonym kotłem, w zimie ma zaś prawo wyrzekać na mrozy istic syberyjskie. Przyzwyczajono się tam do burz śniegowych, te jednak, które nawiedziły Nowy Jork ostatnimi czasy, gwałtownością swoją przewyższyły jeszcze osławioną zamieć z r. 1888.

W poniedziałek, dnia 2 marca b. r., niebo było błękitne, w atmosferze panował spokój, ludność więc zaczęła wypoczywać po śnieżycach ubiegłych. Nagle biuro atmosferyczne, działające z wielką dokładnością, ogłosiło ostrzeżenie alarmujące:

„Burza śniegowa ciągnie od północno-zachodu, za kilka godzin powinna dotrzeć do Nowego Jorku”.

Ostrożniejsi ojcowie rodzin wzięli powyższe ostrzeżenie pod uwagę i przedsięwzięli środki zabezpieczające. Przedewszystkiem z środka miasta, gdzie najpierw rozprzestrzeniła się ta wiadomość, wydali rozporządzenie telegraficzne, aby zakupiono żywność, poczem koleją podziemną niezwłocznie udali się do domów.

Przed godziną 3-cią po południu, niebo dotychczas jasne, pokryło się ciemną powłoką, wiatr dał z siłą nadzwyczajną i jednocześnie śnieg zaczął padać, ale nie wolno, łagodnie, jak w Europie, lecz z jakimś dzikim impetem. Zdawać się mogło, że pomiędzy ziemią a chmurami utworzyła się jedna lawica śnieżna.

Po upływie pół godziny grubość śniegu, leżącego na ulicach, wynosiła 36 centymetrów, a potem porywał go wieher, podrzuczał w górę, gromadził w sterty, siekł nim twarze przechodniów, z których wielu padało na ziemię, tworzył mury na szynach tramwajowych oraz kolei nadmiejskiej.

Jeszcze pół godziny i miasto o pięciu milionach ludności, którego gwar zagłusza nawet dudnienie pociągów, było pogrążone w ciszy białego grobu.

Tramwaje elektryczne i pociągi stały unieruchomione, wejścia na stacje kolei podziemnej były zatarasowane, śnieg zaś ciągle padał przy, akompaniamencie wichru.

Burza zaskoczyła dwa miliony ludzi pracy zarówno kobiet, jak mężczyzn, których jedynym pragnieniem było dotrzeć do ognisk rodzinnych. A nie było to zadanie łatwe wobec zupełnego przerwania komunikacji. Silni mężczyźni utworzyli awangardę, za nimi zaś ciągnęły kobiety i dzieci. Ten pochód, walczący z rozszalałym żywiołem, miał w sobie nastroj tragiczny...

Burza nieubłagana wciąż budowała zapory śnieżne, ale miliony ludzkie wspólnymi siłami torowały sobie drogę iście nieskończoną, dzielnice bowiem zamieszkałe przez robotników leżą w odległości co najmniej dwunastu kilometrów od środka miasta; w wielu zaś razach odległość dochodzi do trzydziestu! Puszczono w ruch maszyny, tam zaś, gdzie one nie pomagały, zwyciężała energia amerykańska.

Śnieg padał przez całą noc i przez cały dzień następny. Miasto nie przebudziło się z rana. Na ulicach nie było ani znaku życia; ludzie nie wyszli z domów, których bramy były całkowicie przez masy śnieżne zatarasowane. Piekarz nie przywiózł chleba, mleczarz nabiału, listonosz korespondencji, lokomotywy milczały, słowem miasto zagrzebane w śniegu.

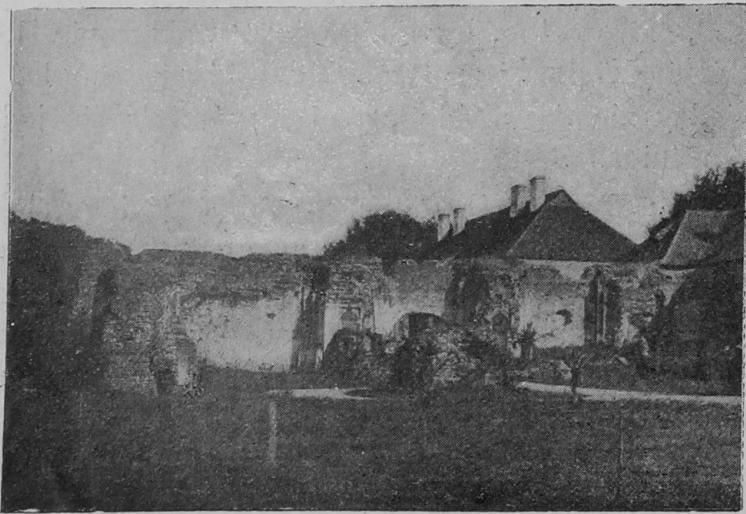
Ale gdy nareszcie burza ucichła, Amerykanin obudził się z podwójną energią.

Panowie w cylindrach łopatami rozgrzebywali śnieg, wyznaczając ścieżkę od bram do środka ulicy, gdzie robotnicy miejscy wykopywali szerszą drogę.

Gubernja Chełmska.

(dok.)

Co dotyczy starostw to szczególnie w nie obfitowała dawna ziemia chełmska. Były tam starostwa i grodowe i niegrodowe. Własności prywatnej było w ziemi chełmskiej bardzo mało.



Łaszczów, ruiny kościoła jezuitckiego.

Tak po lewej stronie Buga leżały starostwa: krasnystawskie, chełmskie i stałeńskie, tudzież włość hrubieszowska. Po prawej stronie Buga starostwa: lubomskie i badzeńskie, stanowiąc łącznie dużą pu-



Kościół franciszkanów w Zamościu.

szczę leśną. Na prawym brzegu Buga dóbr prywatnych nie było wcale, na lewym zaś — jedno tylko dobra, pozatem majątki duchowne. Starostwo chełmskie sięgało aż po Żmudź na północy, granicząc z Zawiszem, dobrami biskupimi, z drugiej zaś strony, aż po Siedlińcze. Liczba wsi prywatnych szybko wzrastać zaczyna w w. XVI. Powstają: Uhinsk, Uhanie, Łaszczów, Swieże itd. Utworzono wreszcie ordynację Zamojskich.

Latifundia jednak, tak powszechne w Polsce, gdzieindziej, w ziemi chełmskiej nigdy nie górowały: przeważała później własność drobno szlachecka.

Co się tyczy zarządu duchownego, to ziemia chełmska tworzyła jedną całość pod tym względem z województwem bełskim, posiadając po jednym biskupstwie obrządku łacińskiego i wschodniego unickiego.

Stolicą biskupstwa unickiego był Chełm. Pierwszym biskupem po wprowadzeniu unji był Zbirujski (1596 — 1603), ostatnim Kidziemski, sprowadzony z Galicji, po zniesieniu unji w królestwie (r. 1867). Rezydencja biskupia obrządku łacińskiego nie mieściła się w Chełmie, lecz przez czas pewien w Hrubieszowie, stale zaś w Krasnymstawie.

Utrzymało się biskupstwo chełmskie do roku 1805, t. j. do czasu przemianowania go na lubelskie, lubo nie w tych samych granicach. Ostatnim

biskupem chełmskim był znany ks. Skarszewski, targowiczanie.

W epoce porozbiorowej ziemia chełmska i byłe województwo bełskie zmienne przechodziły kole-



Typy włościan z wsi Majdan księżopolski.

je: zagarnięte przez Austrię (województwo bełskie przy pierwszym rozbiore; ziemia zaś chełmska przy trzecim), były jej łupem do roku 1809, gdy książę Józef Poniatowski w swoim pochodzie zwycięskim na Lwów wygnał najeźdźców i wydarł Austrii ziemię zabraną, wcielając je do Księstwa Warszawskiego, do którego należały do roku 1815, poczem weszły do składu Królestwa Polskiego.

Pod zaborem austriackim, tudzież potem należąc do Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, ziemia chełmska i byłe województwo bełskie zmieniły pod względem społecznym i ekonomicznym swój wygląd dość radykalnie: własność narodowa, starościńska zmaląła, w znacznej części wyprzedana już przez rząd austriacki. Tam gdzie przed pierwszym rozbiorem Rzeczypospolitej były starostwa: horodelskie, grabowieckie i tyszowieckie, pozostało kilkanaście majątków, należących do właścicieli prywatnych.

Starostwo chełmskie przetrwało najdłużej. Do jego likwidacji przystąpiono dopiero po utworzeniu Królestwa Polskiego pod wpływem ks. Lubeckiego, ministra skarbu, który miał nadzieję, sprzedając osobom prywatnym włości starościńskie, poprawić nieco stan finansów Kongresówki. O ile więc rząd nie porozdawał dóbr starościńskich różnym figurom urzędowym tytułem nagrody za ich gorliwość, zostały sprzedane osobom prywatnym. Tym właśnie sposobem powstały dobra ziemskie: Uher, Krzywowa, Nowosiółki, Niedziałowice i inne.

Wspomniałem powyżej, że utworzona obecnie gubernja chełmska składa się z ziemi, które dawniej za Rzeczypospolitej należały do różnych województw, między innymi do brzesko litewskiego. Województwo to, zaliczone do Wielkiego Ks. Litewskiego, składające się z dwóch tylko olbrzymich powiatów: brzeskiego i pińskiego, obejmowało także niektóre

powiaty, wtedy nie istniejące, które w roku 1815 wcielono do województwa podlaskiego,*) późniejszej gubernji siedleckiej, mianowicie: włodawski, bialski i konstantynowski.

Aleks. Łętowski.



PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

MYSZURES.

(C. D.).

— „Gdzie?” niemądre i to pytanie, widzę, osowiałeś jak puszczyk... Do góry uszy, synku! Przypomnij sobie, jakieś za tym marnym strzępkim wlaź do fortecy szwabskiej... „Gdzie?” to ja ci powiem, bom nie dudek dzisiejszy i już należycie powziąłem języka. Pojechali traktem ratneńskim przed godziną może... ona, ta!... z nim w powozie, dwóch wierzchem obok... Powóz jego duży, droga piaszczysta, konno dognamy ich... A tego barona zduszę jak



Modlitwa matki.

*) Stolicą województwa podlaskiego pierwszej formacji, za Rzeczypospolitej, był Drohiczyn, drugiej zaś, w Królestwie Polskiem — Siedlce.

parszywego kota! Niedaremnie mu żyd z tych promienistych ślipiów przegląda... Ale słyszysz, trąbka, Walek znać daje, że wszystko gotowe, sprawny chłop, niechno jeszcze raz prochu powącha, a będzie oficerem... No, synku, nabij pistolety, przypasz szablę i marsz!...

Za chwilę zatętniała ziemia za sześcioma dzielnymi jeźdźcami, których Hamaniec prowadził.

Z popytów zbieranych na drodze od przechoźniów i po karczmach, jezdni, kiedy już było po północy, mieli przed sobą powóz może o milę drogi.

— Już mam w garści tych łotrów, nawet ślady po drodze od kolasy szerokiej są dość znaczne. Nieopodal muszą się gdzieś zatrzymać, bo na jedne konie i powóz ciężki i drogą za długą — ozwał się Hamaniec.

Już szarzało na dzień; orszak z rozkazu komendanta zwolnił kroku, a stary wojak przy brasku dnia mógł pilniej obserwować ślad, którego się trzymali.

— Stój! — zawołał nagle Hamaniec.

Kiedy stanęli, oddał konia swego sierżantowi, a sam pilnie się przypatrywał drodze. Nakoniec rzekł:

— Tu się ślad kończy i nie idzie szerokim gościńcem, jak dotąd. Widocznie skręcili na lewo do tej dużej karczmy pod lasem, do której jedna droga prowadzi, a nie ma znów znaku, żeby z karczmy wyjechali. Sama karczma niezwykle na tę porę oświetlona... Słuchaj, Walek: zdejm buty, żebyś nimi nie skrzypiał, odpasz szablisko, żeby nie brzęczało i podleż mi pod karczmę, wiesz, jak to czasem pod nieprzyjacielskie placówki, a tyś był chwyt do tego! Tylko rozpatrz się dobrze, a spisz się gracko.

— Słyszę, panie pułkowniku! — odparł sierżant.

I zaledwie to wymówił, już udał się do wykonania wywiadu.

— Z koni! a schowajcie się za drzewa, bo do czasu nie będziemy paradowali!

Przez kilka niedługich pacierzy sierżant zdawał już raport pułkownikowi, który wysłuchawszy go zakomenderował krótko:

— Przywiązać konie w lesie, zostawić przy nich jednego, a reszta za mną, podnieść pałasze na haki, odpiąć ostrogi, maszerować cicho.

Orszak, złożony z pięciu ludzi, podążył za Hamanicem ku karczmie. Doszli do samych okien, które gorzały niezwykłym światłem, a że na zewnątrz nikogo nie znaleźli, przystąpiwszy blisko mogli się rozejrzeć, co się wewnątrz działo.

Duża izba żydowska, przybrana w kobierce i widocznie ustrojona na przyjęcie, gorzała światłem jarzącym w srebrnych świecznikach. Na środku stał stół z rozmaitem jadłem i winem na bogatej zastawie; wszędzie poustawiane były kwiaty i kandelabry, tak iż wewnątrz karczmy robiło wrażenie pańskiego pałacu. Za stołem siedział baron szczęśliwy,

uśmiechnięty; na jego ramieniu oparła Olimpja, z rozpuszczonym, bujnym warkoczem, jaśniejąca niezwykłą krasą i miłosnym zachwytem, drzemała napół tylko, łowiąc to poruszeniem ręki, to rozwarciem usty i westchnieniami jakieś rozkoszne mary.

W izbie nikogo więcej nie było. Woznica i dwaj ordynansi, jak już Walek wypatrzył, spali pijani w stajni przy koniach. Nadto Hamaniec dopatrzył przez okno, że baron broni nie miał pod ręką, jego zaś pistolety i pałasz leżały w przeciwnym kącie izby. Szeptem każdemu wyznaczył właściwe stanowisko. Trzech ludzi pozostawił w stajni przy służbie, z wyraźnym rozkazem, aby niedopuszcili do najmniejszego ruchu, a pijanych powiązali skoro już posłyszą, że do izby wkroczył. Sam z Krzuckim i Walkiem wszedł do karczmy, gdzie znajdowali się kochankowie. Droga prowadziła przez alkierz szynkowniany; tam zastali uspiętego żyda, którego ciche ich wejście nie przebudziło.

Drzwi do izby były tylko przymknięte. Z łatwością otworzył je Hamaniec, za nim weszli Walek i Krzucki i prosto przystąpili do barona, który na to niespodziane zjawienie chciał się zerwać z miejsca i prawdopodobnie chwycić za broń, znajdującą się w drugim końcu izby. Lecz Hamaniec, nie dając mu się ruszyć z miejsca, w oka mgnieniu żelazną dłonią chwycił go za barki i na siedzenie powalił, a jednocześnie przykładając pistolet rzekł:

— Jeżeli zrobisz najmniejszy ruch, łotrze, daję słowo żołnierskie, że wypalę w łeb jak psu.

Baron drążący i blade opadł bezwładnie na siedzenie, a tymczasem Walek przygotowanym już sznurem ręce mu w tył związał.

Olimpja od razu zerwała się z siedzenia, machinalnie schwyła jakąś płachtę, aby zakryć nieład stroju, a owinięta nią, zacisnęła się w kąt bezwładna, martwa jak posąg, a blade jak marmur. Bezmyślnie wodziła po komnacie obłąkanemi oczyma, jakby nie była w stanie zdać sobie sprawy z tego, co się dokoła niej działo.

Nastąpiła długa chwila milczenia, szczególnie przykra dla niespodzianie pochwyconych. Baron wszakże pierwszy odzyskując zwykłą swą bezczelność ozwał się z szyderskim wyrzutem:

— A czy to jest właściwym wielkiej armji napisać w ten sposób na bezbronnych? To prawdziwie rozbójnicze rzemiosło; w żadnym razie rycerskiem nazwać się nie może.

— Nie na żadne tu sądy i dysputy stanąłem, uwodzicielu żydowski! — zawrzasnął z gniewem Hamaniec. — Zresztą na imanie złodzieja i gwałtownika panińskiego, jakim jesteś, żadnych rycerskich przepisów nie ma. Nikczemnie pogwałciłeś gościnność naszą, więc do żadnych praw się nie odwołuj!

— Cóż więc, waćpanowie, czynić ze mną zamysłacie? — zapytał odzyskując spokój baron.

— A zaraz ci to powiem, smyku, bo ze mną

krótka sprawa. Jestem opiekunem aśki, którą shańbiles i musisz ją dziś jeszcze zaślubić, albo...

I nie dokończył Hamaniec.

— „Albo?” — powtórzył w formie zapytania związany.

A potem dodał z szyderstwem:

— A jeśli mi się to nie spodoba?

— Strzele ci związanemu w łeb, jak psu! — krzyknął Hamaniec, pieniąc się z gniewu.

A dobywając zegarek, złożył go na stole i dodał:

— Masz waść pół godziny czasu do namysłu, a że mojego postanowienia nie cofnę, daję na to parol żołnierski.

Na te słowa coraz bledsza Olimpja zsunęła się bez czucia na ziemię.

— Sierzancie — zwrócił się Hamaniec do Walka — sprysnij no tę aśkę zimną wodą.

Słotwianin spełniając rozkaz zajął się trzeźwieniem zemdlonej.

— Nie masz litości i poszanowania dla kobiety — przemówił z wyrzutem jeniec.

— Jak dla jakiej! W każdym razie nie dla niej, która nie uszanowała woli zacnej matki, ani uczucia narzeczonego, co dla niej życiem pogardzał... Powtarzam acanu, iż tu nie chodzi o dysputę, bo czas ucieka, a ja jestem człek honoru, z gęby cholery nie zrobię, więc radzę, albo zebrać myśli przed śmiercią, albo gotować się do ślubu... czas uchodzi.

Po tych słowach wyrzeczonych poważnie i surowo Hamaniec, odwróciwszy się od jeńca, przemierzał szerokim krokiem izbę. Gwiżdżąc sobie jakiś marsz wojenny, zdawał się nie zważać na to, co go otacza; jakiś przerażający wyraz zdecydowania osiadł na jego marsowem obliczu.

Tymczasem baron, spoglądając trwożliwie na zegarek, bladł jak chusta, a pot zimny, kroplisty oblewał mu czoło. Olimpja, otrzeźwiona przez Walka, choć jeszcze skamieniała z przerażenia, utkwiała wzrok błagalny w barona, złożywszy ręce jak do modlitwy. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, zawierająca w sobie wiele wymownych udręczeń w obec nieubłaganej postawy Hamanca i przerażenia obojga kochanków.

Florjan stał blady, milczący, z zaciśniętymi zębami.

Po przerwie baron nagle rzucił jeszcze raz okiem na zegarek leżący na stole, a drgnąwszy silniej niż przedtem, ozwał się głosem zmienionym, ledwie dosłyszalnym, który już nie miał w sobie śladów poprzedniej pewności i szyderstwa:

— Gdybym się więc zgodził, gdzież ksiądz, gdzie kościół?

— W tem już moja głowa — odparł sucho Hamaniec i dodał: — Uprzedzam, iż do wyrzeczenia ostatecznej decyzji pozostało minut dziewięć jeszcze.

— Więc zgadzam się na pierwsze. Czemuż nie mamy rozpocząć od tego, na czembyśmy zawsze skończyli z Olimpją. Proszę mi tedy rozwiązać ręce.

Baron wypowiedział to swobodniej już pewniejszym głosem, jakby człowiek uratowany od grożącego niebezpieczeństwa.

— Więc się asindziej zgadzasz na poślubienie jejmościanki? — spytał Hamaniec.

— Tak! — była lakoniczna odpowiedź — i proszę mi rozwiązać ręce, bo mi je niemiłosiernie skrupowano.

— To inna sprawa; postanowiłem sobie, że ręce waćpanu rozwiążę albo przy ołtarzu, albo po śmierci, więc zawsze trzeba trochę poczekać — wyrzekł obojętnie Hamaniec.

— Nie wierzysz waćpan mojemu słowu? — rzekł baron z oburzeniem.

— Od człowieka, który gwałci prawa święte gościnności, jak się waćpan tego względem nas dopuściłeś, można oczekiwać wszelkiej zdrady... Ale czas nie stoi, uprzedzam, że do terminu pozostaje niespełna trzy minuty. Więc mów, czy wybierasz ślub, albo...

Słowa te wymówił Hamaniec z piekielnym spokojem, odwołując kurek od pistoletu. Trzask sprężyny zabrzmiał jakby wyrok śmierci. Olimpja padła na kolana i w uniesieniu wzniosła błagalne ręce w stronę kochanka; ten zaś, jakby topielec wzywający ratunku, zawołał nieludzkim głosem:

— Ślub!

Hamaniec z flegmą opuścił kurek od pistoletu, a zwróciwszy się do sierżanta obojętnie wydał mu swe rozkazy:

— Idź, chłopcze, zaraz zaprzęż konie barona. Przyrowadź tu jednego z służby pod wartą, aby zabrał i upakował te rupiecie. Potem służbę powiązać, którą wezmą towarzysze pomiędzy siebie na konie; sam siądziesz za woźnicą, a Stach przy tobie... Gdy będzie wszystko gotowe, zajedziesz przed karczmę... w lewo w tył!

Walek wyszedł, a niebawem według rozkazu zajechał z powozem barona; towarzysze zaś już siedzieli na koniach.

— Teraz służę asińdźce jako pannie młodej — rzekł z grzecznością Hamaniec, podając ramię Olimpji, która je przyjęła nie bez pewnej odrazy.

— Stach, pomóż jegomości wsiąść do powozu — rozkazał jednemu z towarzyszy, który stanął przy baronie i związanego podsadził do karety.

Gdy już baron z Olimpją usiedli, Hamaniec stawiając nogę na stopniu powozu rzekł żartobliwie:

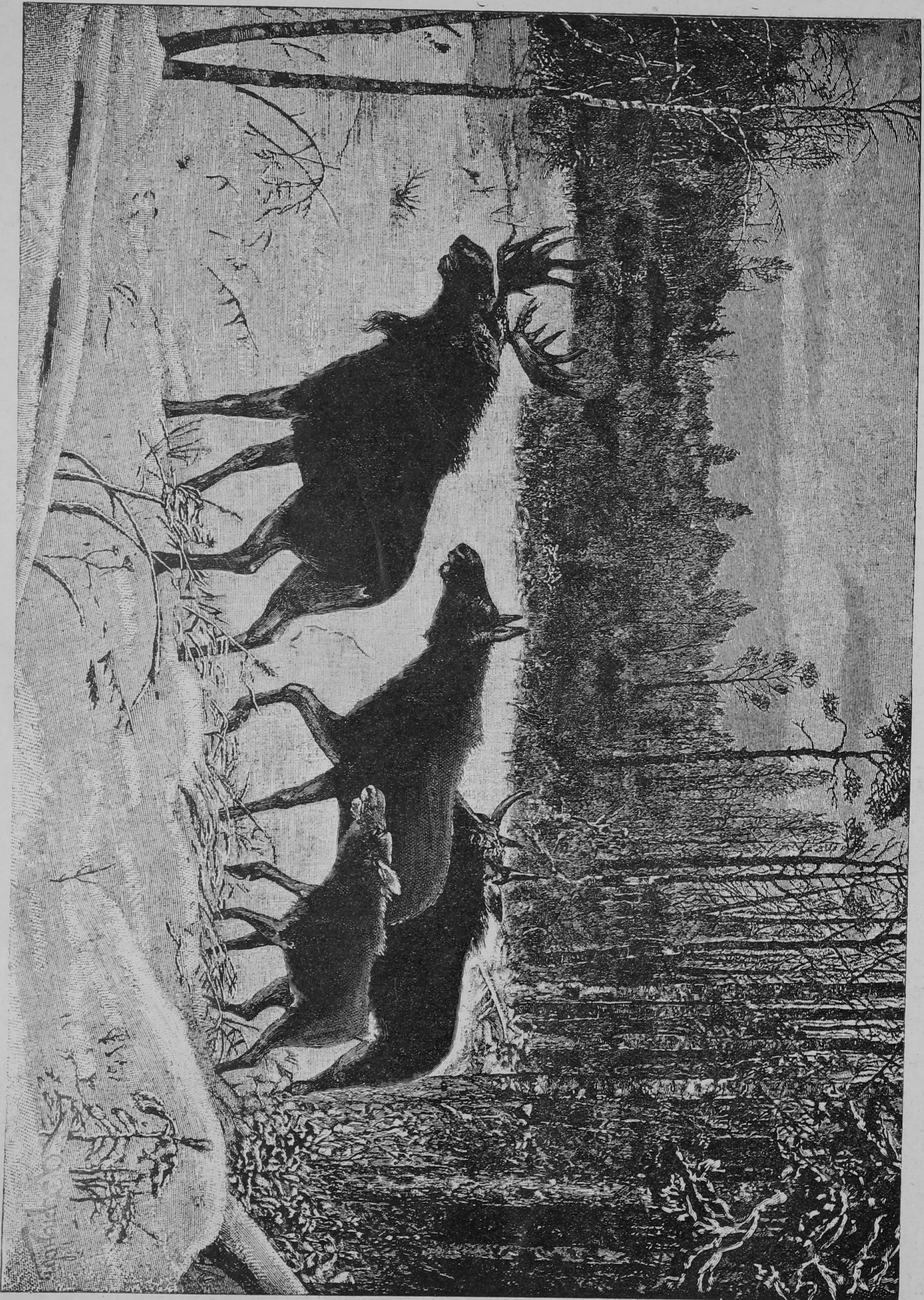
— Jako družba weselny umieszczę się na przodzie powozu, droga nam będzie weselszą.

I nie pytając o resztę, usiadł.

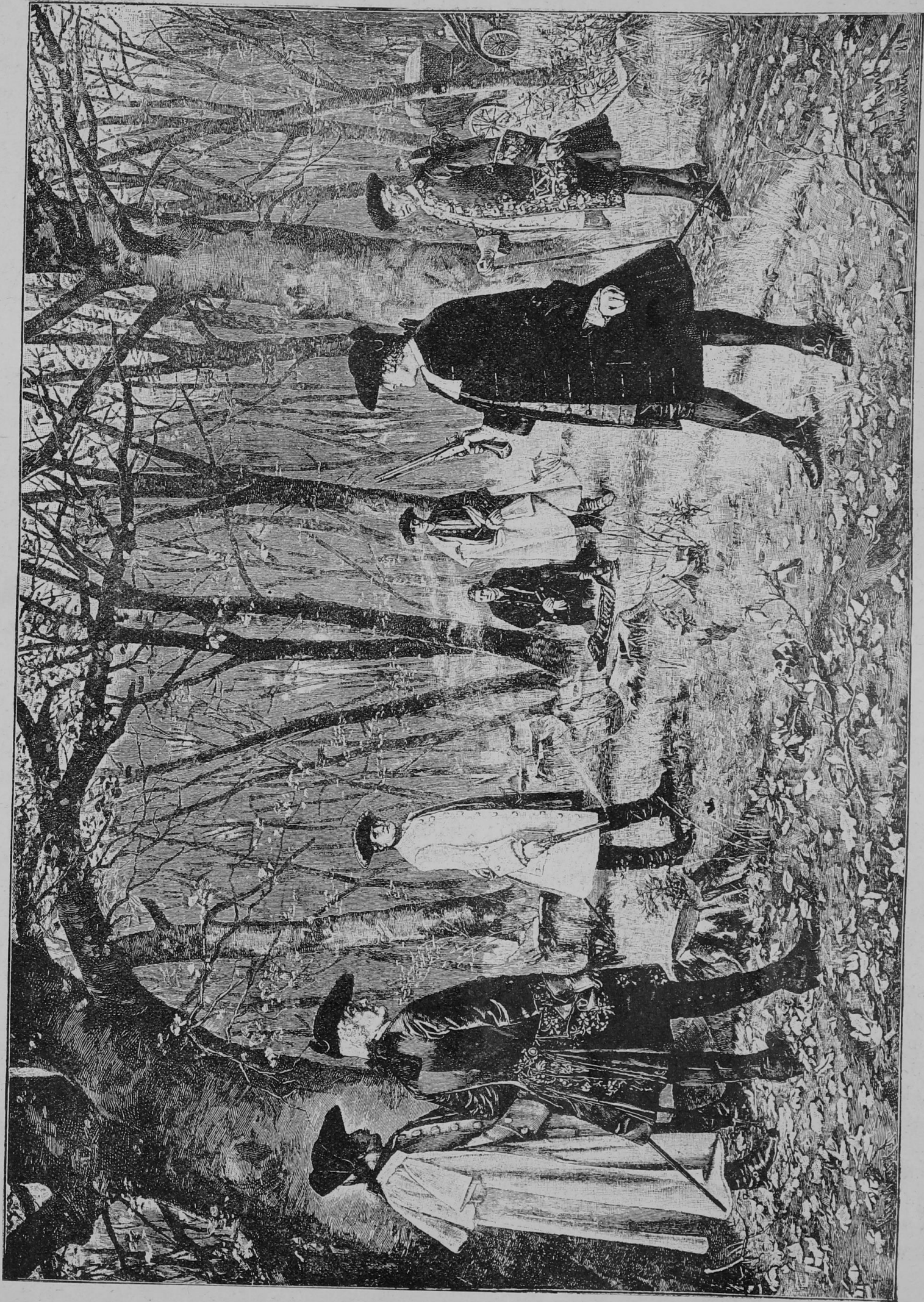
Jezdni z jeńcami otoczyli powóz. A gdy już się wszyscy rozstawili, Hamaniec wydał rozkaz Walkowi.

— Do księdza Błażeja, tylko po szwoleżersku, rozumiesz! Konie barona dziarskie, a miały czas wypocząć.

A. CHRONOW.



ŁOSIE W DRODZE.



J. MUNCK.

PO PIERWSZYM STRZALE.

Walek świsnął po swojemu, rysaki ruszyły z kopyta.

Jechali już może z godzinę, gdy wtem Walek ozwał się z kozła:

— Panie pułkowniku, jacyś jezdni sadzą z kopyta tą samą drogą naprzeciwko nam.

Na te słowa posępna twarz jeńca rozjaśniła się uśmiechem.

— A daleko od nas?—spytał Hamaniec.

— Za jakie dobre trzy pacierze spotkamy się z nimi.

— A możesz ich przeliczyć?

— Jest ich czternastu, poznaję nawet niektórych; to huzary, co z nami nieraz polowali.

— Spodziewam się, że mi waćpan teraz rad nie rad wyswobodzisz ręce — wyrzekł baron głosem pewnym i szyderczym.

— Nie; bo jeżeli do tego przyjdzie, o czym myślisz w tej chwili, to wprzód waści w łeb strzelę — wymówił z przerażającą oziębłością Hamaniec, odwodząc kurki u pistoletów.

Baron pobladł. Olimpja drząc zaczęła jak listek w wiatrze.

Wkrótce jezdni zbliżyli się do powozu, a otoczywszy go, zawołali groźnie:

— Stój.

— Stań! — zakomenderował Hamaniec z zupełnym spokojem.

Konie stanęły.

(d. c. n.).



Amilkar Cipriani.

Patryota i rewolucjonista w Włoszech, garybaldezyk i komunista w Francji, więzień wygnaniec, na śmierć ongi skazany, Amilkar Cipriani, został niedawno pięcioma tysiącami głosów swoich rodaków medjolańskich powołany jako poseł do parlamentu.

Jest on niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących ludzi współczesnych, postacią żywą i zarazem legendową.

Urodzony w roku 1844 w Rimini, jako żołnierz piętnastoletni, wolontarjusz, bił się z męstwem lwa w Palestro i Solfarino. Mając lat szesnaście dezertuje z armji królewskiej do Garibaldiego i pod jego wodzą bierze udział w walkach pod Milazzo, Maddaloni i otrzymuje rangę podporucznika. Kończąc lat siedemnaście, mógł pochłubić się uczestnictwem w trzech wielkich bitwach i dziesięciu potyczkach. Schwytany w Aspromonte przez żołnierzy królewskich, zdołał zbiedz do Garibaldiego.

Nieco później udał się do Grecji, wziął udział w powstaniu przeciw królestwu, zebrał garść ludzi, z którym opanował samego królewicza, nazajutrz je-

dnak, z rozkazu rządu tymczasowego, był wygnany za ten zuchwały postępek.

Jako młodzieniec dziewiętnastoletni uczestniczył w ekspedycji angielskiej, zorganizowanej celem odkrycia źródeł Nilu.

W r. 1864 w Londynie, mając lat dwadzieścia, śni o utworzeniu rzeczypospolitej powszechnej... Odtąd wszystkie czyny Ciprianiego dążyły do urzeczywistnienia tych marzeń.

W r. 1866 walczył przeciwko Austrii, w roku 1867 za Kretę. Gdy powrócił do Aleksandrii chciał go zamordować. Wciągnięty przez dziesięciu rodaków w zasadzkę został ciężko poraniony, ale dzielnie się bronił i sztyletem zabił jednego z przeciwników. Wygnany udał się do Londynu, tam nawiązał bliskie stosunki z Mazzinim i został... fotografem, aby na chleb zarobić.

Mniej więcej w owej epoce Cipriani uczynił rzecz nadzwyczajną: ożenił się. Ten człowiek niezależny, namiętny kochanek wolności, zakochał się w francuzce, pannie Adolfinie Rué... On był piękny; ona bardzo nadobna, pochodziła z rodziny mieszczkańskiej, która nie mogła pogodzić się z tym związkiem... Córeczce, zrodzonej z tego małżeństwa, wygnaniec, tęskniący za swoją ojczyzną, nadał imiona: Fulvja, Lavinja, Italja, Roma. Było to dnia 15-go stycznia 1870 r., a 15 sierpnia tegoż roku dowiedziano się w Londynie o porażkach francuskich.

Dnia 4 września nastąpiło ogłoszenie rzeczypospolitej, siódmego zaś Cipriani już był w Paryżu, a następnego dnia przywdział mundur żołnierski. Po walkach pod Dijon, w których brał udział z garybaldezykami, był mianowany pułkownikiem 19-go pułku piechoty. W Buzenval i Montretout walczył bohatersko. Po zgonie pułkownika, który poległ na polu walki pod Roquebrune, objął dowództwo pułku i stawiał czoło większej części armji pruskiej. Generał Thomas ofiarował mu krzyż; Cipriani odpowiedział listem następującym:

„Dziękuję za zaszczyt! Nie przyjmuję krzyża, ponieważ odznaczenia sprzeciwiają się moim przekonaniom, wreszcie my, garbalezycy, przyjmujemy takie zaszczyty dopiero po rozbiciu swoich namiotów w obozie nieprzyjacielskim“.

Po upływie kilku tygodni Cipriani brał udział w ruchu komuny. Uczestniczył w walce jedynie dnia 3-go kwietnia, bo nazajutrz uwięziono go w Chateau. Skazany na śmierć zdołał uniknąć rozstrzelania, ale rada wojenna w Wersalu skazała go na deportację na całe życie.

Zesłany do Numei i po upływie ośmiu lat ułaskawiony, powraca do Anglii, gdzie pozostawił żonę i dzieci. Po przybyciu na miejsce, dowiaduje się, iż pierwsza umarła z zgryzoty, a drugie znikły. Powraca do Francji, ale zostaje wydalony 1 stycznia 1884 r. Jedzie do Włoch. Tam aresztują go i stawiają przed sąd, oskarżają o zabójstwo; rozpoczęto śledztwo w dawnej sprawie aleksandryjskiej.

Wbrew oczywistości, że Cipriani zabił swego rodaka Santiniego, działając w obronie własnego życia, wbrew świadectwom najwiarogodniejszym, sąd skazuje Ciprianiego na 25 lat więzienia.

Umieszczony w Porto Longono, na wyspie Elbie, Cipriani pozostaje przez ośm lat w ciemnej celi, na łańcuchu, przymocowanym do muru, w nocy zaś leży na łóżku skrepowany. Łańcuch wyłobiał ślady w posadzce kamiennej, ponieważ Amilkar, aby nie stracić władzy w członkach, chodził od ściany do ściany. Oswoił pająka, lecz dozorca zauważywszy to, zgnetli go.

Po ośmiu latach pozwolono więźniowi używać przechadzki. Gdy wyszedł po raz pierwszy, padł bez zmysłów, oszołomiony powietrzem. Wreszcie wskutek nieustannych manifestacji ludowych otrzymał amnestję. Opuściwszy więzienie wyjechał do Francji.

Człowiek ten, którego nie ugięły żadne doświadczenia, znów rzuca się w wir walki: z wszystkich sił boryka się w imię braterstwa międzynarodowego, nie będąc nieświadomym surowości prawa...

W r. 1897 wraca do Grecji, walczy przeciw Turcji, otrzymuje ciężką ranę pod Domokos i znów przyjeżdża do Paryża. Zostaje dziennikarzem i w „Petite Republique“ rozwija swoje idee; przemawia na zebraniach i w ciągu lat dwunastu walczy w szeregach socjalistycznych.

W r. 1909 doznał wielkiej radości, odzyskał bowiem swoją córkę i to w okolicznościach rzeczywistości wzruszających. Zaślubiła ona wybitnego malarza ilustratora, Jakóba Welu, zmarłego przed trzema laty. Ten pewnego razu przeglądając encyklopedję Larousse'a, przeczytał artykuł, dotyczący Ciprianiego. Uderzyły go pewne daty. Sprawdziwszy papiery swojej żony, przyszedł do przekonania, że słynny rewolucjonista jest jego teściem. Udał się do Ciprianiego, ten jednak przyjął wiadomość bez przekonania, niemniej rzekł:

— Mam sposób niezawodny przekonania się, czy pańska żona jest moją córką... Proszę ją przyprowadzić.

Pani Welu czekała w drugim pokoju, za chwilę więc stanęła przed domniemanym ojcem.

— Jakie są pani imiona?—zapytał Cipriani.

— Dziadkowie moi nazywali mnie Julją, właściwe moje imiona są: Fulvja, Lavinja, Italja, Roma. Matka moja nazywała się Adolfiną Rué.

Nie było wątpliwości... Ojciec i córka przeżyli chwilę wielkiego szczęścia.

Przed kilku laty mógł zdobyć względny majątek: Rochefort proponował mu za pamiętniki sto tysięcy franków, jeden z wielkich dzienników angielskich sto pięćdziesiąt, ale Cipriani odmówił:

— Życie moje nie jest romanssem—rzekł.

Taki jest ten nowy poseł do parlamentu włoskiego, nieugięty, dumny, stanowczy i prostolinijny.

Można nie zgadzać się z jego ideałami, ale trzeba podziwiać wielkość jego charakteru.

Wybór, dokonany przez medjolańczyków, jest faktem znamionym.



PRZEZNACZENIE.

(dok.).

Szedłem długo samotnie, gdy wtem wstępując na wierzchołek góry, ujrzałem żołnierza tureckiego w pełnej zbroji.

— Dzień dobry, przyjacielu — zagadnąłem go spokojnie.

— Dzień dobry, ormianinie — odparł turek, nie przeszedł jednak mimo, tylko zatrzymał się przyglądając mi się badawczo.

Szedłem dalej nie przyspieszając kroku, aby nie wzbudzać podejrzania.

— Hej, wieśniaku!—usłyszałem nagle wołanie za sobą.

Obejrzałem się więc i stanąłem; widocznie było to moje przeznaczenie. Czyż był nim ów turek z fuzją przerzuconą przez ramię, z pałaszem zakrzywionym przy boku, z sztyletem o białej rękojeści przy pasie? Twarz przytem miał ohydny i oczy wściekłe, istne oczy zgłodniałego wilka.

Zbliżył się do mnie.

— Podejrzenie jakos wyglądasz — rzekł— kto jesteś i dokąd idziesz?

— Nie zapomnij, żołnierzu, że jesteśmy sąsiadami. Przychodzę z Chut, bo jak ci wiadomo, głód panuje u nas, idę więc do Derszan, aby dzieciom kupić chleba.

— Nie wieśniaku, ty mnie oszukujesz, z ócz zle ci patrzy.

— Żołnierzu, bój się Boga, widzisz przecież, że nie posiadam broni, nawet noża nie mam w kieszeni, a cóż pocznę z memi dwoma rękoma; proszę cię, puść mnie.

— Idź przedemną! — zakrzyknął — oddam cię policmajstrowi.

Było to straszne, bo policja nas już od dawna szukała.

— Proszę cię, żołnierzu, nie oddawaj mnie policmajstrowi, gdyż choć się jego nie obawiam, ale dzieci czekają mego powrotu i umierają z głodu. Na miłość Boską zaklinam cię, bracie turku, nie zatrzymuj mnie dłużej.

Był jednakże niewzruszony; cóż miałem począć. Miał siłę za sobą, miał fuzję, pałasz i sztylet przy pasie, a ja nic prócz dwojga rąk moich krzpkich.

Szliśmy dalej.

Dokoła świat się uśmiechał, słońce jasno świeciło na pogodnym niebie, kwiaty pachniały, świer-



Jan Matejko.

Królowie polscy. (Zob. str. 182).

gotały ptaki, pełno było życia i wesela w przyrodzie, a nad głowami naszymi krążył żóraw wolny i śmiały. Nie wiem dlaczego zapominając o własnym losie, przyglądałem się długo temu ptakowi.

Czy zazdrość budził we mnie?... Żóraw krążył czas jakiś w powietrzu, nagle zaczął się spuszczać i przypadł niby strzała na poblizki pagórek. Tam pełzała żmija i poczuwszy nad sobą skrzydła ptaka ukryła głowę pod pierścieniami swego cielska. Rozpoczęła się straszna walka; przystanęliśmy.

— Patrzaj — rzekł turek — armeńczyk to niby taka żmija i trzeba go zadusić.

Nie nie odrzekłem, przyglądałem się tylko. Żóraw zatrzymał się i uderzał dziobem żmiję, ta zaczęła uciekać, lecz groźny nieprzyjaciel dogonił ją i stanął znowu nad nią.

Turek miał słusność; podobieństwo wielkie było pomiędzy losem żmiji, a moim; przeznaczenie jej spełnić się musi, pomyślałem, już nie ma dla niej ratunku!

Tymczasem żóraw uderzał na nią coraz silniej i uważając ją za zwyciężoną, zadał jej jeszcze dziobem kilka ran niebezpiecznych, obchodząc dokoła niej. Żmija leżała spokojnie broniąc się coraz słabiej, lecz nagle stało się coś dziwnego; skoro ptak był zupełnie blisko, żmija na wpół żywa dobytego osta-

tnich sił, wyprężyła się niby laska i wyciągnawszy głowę owinęła się około szyi ptaka. Daremnie starał się uwolnić z śmiertelnego uścisku, bił skrzydłami, usiłował powstać, unieść w górę, podlecieć; napróżno, wściekłość zrozpaczonego gadu była okropną, pierścienie jego ścisnęły coraz mocniej szyję żórawia, aż padł bez życia, ona zaś pełzając z wolna znikła w zaroślach.

Żołnierz turecki milczał, spojrzawszy na mnie, oczy nasze spotkały się, każdy z nas pragnął zbadać myśli przeciwnika. Niewątpliwie były one złowrogie, zrozumieliśmy to jasno i wyczytaliśmy w swoim spojrzeniu.

Byłem pewien, że potwór rozwścieklony nieprzewidzianem zwycięstwem żmiji, postanowił mnie zabić, gdyż wyraz oczu jego stawał się coraz złośliwszy. We mnie również walka żmiji z żórawiem wywołała dziwną zmianę, bo znaną przecież jest rzeczą, że ptak ten bywa poniekąd wyrazem przeznaczenia węża, którego zwykle pokonywa. Jakże to, że dzisiaj los zrzucił inaczej! Czyż Opatrzność, która nie dozwoliła, aby nawet stworzenie takie podłe jak żmija, stało się niewinną ofiarą ptaka, czyżby ta sama Opatrzność przeznaczyła na mego kata istotę stokroć gorszą od węża? Nie, przeznaczenie to bajka, trzeba mi szukać innej drogi wyjścia!

Namyslałem się długo, długo. Szukałem jakiegokolwiek sposobu, niestety, nie miałem przy sobie noża nawet. W tejże chwili wzrok mój padł na sztylet zatknięty za pasem żołnierza; ach, gdyby go tak zdobyć...

— Co tak stoisz?—krzyknął turczyn.

Poszliśmy dalej i wstąpiliśmy teraz na samotną pustą polankę między górami. Żołnierz zaczął się niepokoić chwytając raz po raz za broń swoją. Sądziłem, że koniec mój się zbliża, nie chciałem jednak umierać; jeżeli gad lichy ma prawo do życia, czemuż miećby go nie miał chrześcijanin? Przystawałem chcąc postępować równocześnie z turkiem.

— Idź prędzej, idź prędzej!—nagił tamten.

Zatrzymałem się, aby poprawić rzemyki przy mych sandałach, on stanął nademną. Obserwowałem go nie podnosząc głowy, rękojeść z kości słoniowej sztyletu kłuła mnie w oczy.

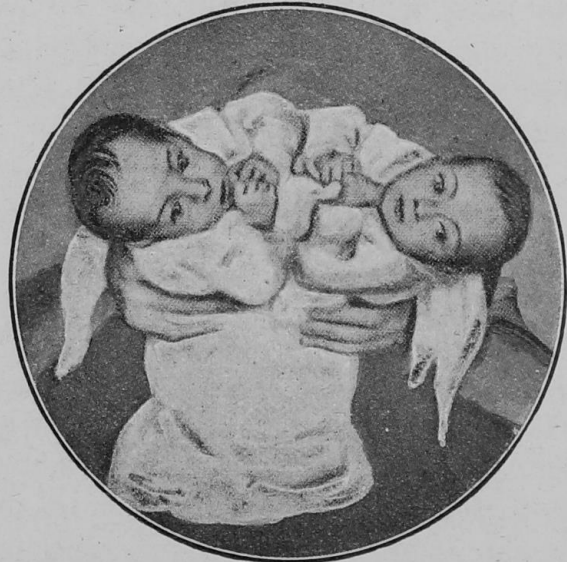
— Spiesz się, ormianinie! — krzyknął na mnie, widząc mą powolność.

W mgnieniu oka podniosłem głowę i wyrwałem mu sztylet z za pasa, a zanim przerażony oprzytomniał, wtłoczyłem mu stal ostrą w samo serce. Jęknął i padł na ziemię, ja zaś byłem ocalony, a oto jest sztylet, który mnie wybawił.

To mówiąc Kai, wyciągnął z za pasa sztylet z rękojeścią kościaną i położył go na stole.

Wszyscy oglądali w milczeniu straszne narzędzie, które w rękę ludzką przecięło splecione węzły losu! Mizerny, nie nieznaczący Kai urósł od razu na bohatera, był olbrzymem, który panował nad przeznaczeniem i drwił sobie z niego.

— Tak, nie wierzę w przeznaczenie — powtarzał, ale słowa jego nie wywoływały już szyderstw i oburzenia, lecz przeciwnie głębokie poszanowanie. Wziął potem broń swoją, zatknął ją za pas i wyszedł, wieśniacy zaś zamilkli zdumieni.



Siostry sjamskie.

Tymczasem na dworze burza szalała dalej, a w dzikim poświście wichru zdawało im się, że słyszą jakieś groźne głosy wołające zemsty! zemsty!



Ś. p. Henryk Dobrzycki,



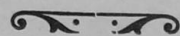
Dr. medycyny, znany w Warszawie lekarz, obywatel i patriota, zmarł w 71 roku życia. Śmierć jego okryła szerokie koła szczerą żałobą, gdyż ś. p. Dobrzycki cieszył się nie tylko ogólną sympatją jako człowiek, lecz zarówno jako działacz na licznych polach społecznych umiał pozyskać sobie ogólny szacunek.

Urodzony w roku 1843 w Kaliszu, śp. Dobrzycki po ukończeniu szkół w rodzinnym mieście, w roku 1858 zapisał się do szkoły sztuk pięknych, następnie wstąpił do akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie. Uniwersytet ukończył w Wrocławiu. Roku 1866 objął stanowisko lekarza szpitala św. Józefa w Mieni. Dzięki jego staraniom powstała tam pierwsza w Królestwie lecznica klimatyczna dla ubogich chorych piersiowo. Od roku 1884 był kierownikiem zakładu kumysowo-klimatycznego w Sławucie. W roku 1891 piastował godność wiceprezesa Towarzystwa lekarskiego w Warszawie. Należał też do założycieli pisma „Klinika“, zamienionego później na „Medycynę“. Napisał liczny szereg prac cennych i pożytecznych.

Jako wiceprezes sekcji dla budowy pomnika dla Chopina, naszego wielkiego geniusza muzycznego, i na tem polu rozwinął owocną działalność. Nie danem mu było niestety doczekać się plonu swej pracy.

Śp. Dobrzycki czynny był też przy założeniu kasy imienia Mianowskiego. Na kongresie międzynarodowym lekarskim w Rzymie w r. 1894 wniósł on, aby urządzono międzynarodową sekcję prasy lekarskiej na każdym z kongresów następnych. Wniosek jednomyślnie uchwalono. W roku 1890 odbył się jubileusz niespożytych zasług jego. Uczczono go wtedy jako wybitnego męża nauki i zasługi.

Śp. Dobrzycki należał wreszcie do szczerych przyjaciół i zwolenników naszego „Ziarna“, które popierał czynnym swym współpracownictwem. I z tego tytułu należy mu się hołd dla jego zacnych myśli i uczuć. Cześć jego pamięci!



Kronika polityczna.

W Berlinie zaszedł wypadek, który jaskrawe rzuca światło na niesłychaną butę i wprost zbrodniczą nienawiść prusaków. Chodziło o dzieci polskie tamtejszej kolonji, które przystępować miały w kościele św. Pawła do Komunii św. Obrzęd odbyć miał się w języku ojczystym rodziców i młodzieży, która poprzednio przez ks. posła Kurzawskiego i jednego z księży kaszubskich odpowiednio otrzymała przygotowanie. Wobec zapowiedzianego uroczystego aktu zebrało się w klasztorze oo. dominikanów około tysiąca Polaków na nabożeństwie oraz 50 dzieci do przyjęcia św. Sakramentów. Po ukończeniu mszy dzieci i ich rodziny oczekiwały na akt Komunii św., ale nadaremnie. Nareszcie wyszedł z zakrystji zakonnik o. Jakób i oświadczył ostrym tonem, że komunja dzieciom polskim i ich rodzicom udzielona nie będzie, a zarazem wezwał ich do niezwłocznego opuszczenia świątyni.

Polacy, nie rozumiawszy na razie o co idzie, czekali dalej. Wówczas ukazał się drugi zakonnik o. Amandus i wezwał zgromadzonych powtórnie jeszcze ostrzejszym tonem do opuszczenia kościoła. W świątyni rzebrzmiał okrzyk jednomyślnego protestu na ten niesłychany w dziejach kościoła postępek.

Rozmieszczeni w świątyni tajni policjanci, wezwani naprzód przez przeora klasztoru zaczęli wypychać dzieci oraz ich rodziny z kościoła, gdy to jednak nie odnosiło skutku wobec oporu wiernych, przeor wezwał z poblizkiego odwachu 20 policjantów. Niebawem oddział zbrojny pod dowództwem oficera policji wkroczył do kościoła z obnażonymi szablami. Oficer, stanąwszy na stopniach ołtarza, oświadczył po niemiecku: „Wzywam w imieniu prawa do opuszczenia kościoła“. Jednocześnie zebrani policjanci wyrzucali zebranych z świątyni siłą.

Po całym tem zajściu, przed kościołem patrolowała policja z nabitymi rewolwerami, obawiając się rozruchów.

Niecny ten postępek wywołał nadzwyczajne oburzenie w całej kolonji polskiej Berlina, a nawet spotkał się z ostrą krytyką protestantów.

Rzeczą jest niewątpliwą, że sprawa ta będzie przedmiotem interpelacji w sejmie i w parlamencie. Miejmy nadzieję, że w ten sposób będzie spełniona tylko część zadania. Należy się postarać, aby cały świat cywilizowany dowiedział się szczegółowo o niesłychanym akcie gwałtu, świadczącym jeszcze raz z wyjątkowym naciskiem, do czego zdolne są dzisiejsze Niemcy.

Podobnie jak prusacy w Niemczech, grasują w nowej Rzeczypospolitej chińskiej żywioty dzikie, naruszające spokój kraju i życie jego mieszkańców. Są to niszczycielskie zagony band rozbójniczych pod wodzą Bailanga, zwanego przez przerażoną lu-

dnosc „białym wilkiem“. Mianowicie zagrożona jest prowincja Chanun przez herszta, którego nazywają tam już królem. Jego oddziały nie są bynajmniej luźną hordą, lecz czynią raczej wrażenie regularnego wojska. Mimo że prowincję przecina kolej z Pekinu do Hankan, rząd Juanszikaja nie zdołał przywrócić w niej spokoju i porządku, a co gorzej, wysłane przeciw „białemu wilkowi“ wojsko, przeszło na jego stronę. Bailang zdobył miasto Luantszu i wyrzwał w pień całą ludność, przyczem poniósł śmierć misjonarz francuski ks. Riche, a wielu innych zakonników niemieckich i angielskich wtrącono do więzienia. Również i miasto Szutszeng stało się pastwą płomieni.

Początkowo Juanszikaj próbował układow z „białym wilkiem“. Wysłał do niego pośredników, którzy mu zapowiedzili, że w razie poddania się dobrowolnego otrzyma rangę generała. „Biały wilk“ wyśmiał jednak posłów.

— Na co mi ranga generała — odrzekł im. — Ja oddawna mam już znacznie wyższe stanowisko.

W ostatnich czasach akcja, przedsięwzięta przez bandy rozbójnicze, coraz bardziej nabiera charakteru politycznego. „Biały wilk“ nawiązał już rokowania z mandarynami poszczególnych prowincji, którzy przyrzekli mu swą pomoc. Wiadomem jest także, iż z Szanghaju otrzymuje broń i amunicję, zamawianą nawet w fabrykach europejskich.

Lech.



Z blizka i daleka.

Zaćmienie księżyca, zapowiedziane na czwartek rano dnia 12 b. m. odbyło się przy mroźnej pogodzie i czystym niebie w czasie oznaczonym. Około godziny 6 cień ziemi zakrył niemal zupełnie całą tarczę księżyca, która nabrała koloru ciemnordzawego. Kto odżałował trudu i podniósł się wcześniej z łóżka, miał sposobność zobaczenia ciekawego zjawiska astronomicznego.

Ofiara milionowa. Zmarły przed trzema tygodniami w Lwowie lekarz, śp. Alfred Burzyński, zapisał cały swój majątek, wartości miliona koron na cele skautów polskich. Z woli matki zarząd Sokoła lwowskiego objął zaraz administrację zapisu. Szlachetny ofiarodawca przeznaczył nadto zbiory swe i galerję obrazów dla muzeum narodowego na Wawelu.

Skarb w „garbie“ żebraka. W San Francisco aresztowano za jakies przewinienie pewnego 70-letniego żebraka, mającego wielki garb. Przy rewizji okazało się, że garb był sztuczny i składał się z puszki blaszanej, w której znajdowało się w gotówce i papierach około 70 tys. rubli.

Rozdzielenie siostr sjamskich. W obecności kilku lekarzy oraz studentów rozdzielił znany chirurg francuski, Le Filâtre, w paryskim sanatorium, dwie zrosnięte trzymiesięczne siostrzyczki. Operacja, do której trzeba było sporządzić osobne, małe instrumenty, trwała kwadrans, a wynik jej jest tak zadawalający, że upoważnia do nadziei utrzymania dzieci przy życiu.

Megiery angielskie. W Glasgowie przyszło dnia 9 b. m. na zebraniu sufrażystek, na którym przemawiała znana agitatorka p. Panckhurst, do zajęć poważnych. Według oświadczenia urzędników, walka policji z sufrażystkami była tam o wiele zawziętszą od wszystkich poprzednich. Policja chąc aresztować Panckhurstową, której, jak wiadomo, zabroniono wszelkich występów, natrafiła na ogrodzenie, składające się z płotu kolczastego, zręcznie osłoniętego kwiatami, tak że policjanci poranili się. Kobiety broniły się wszystkim, co tylko miały pod ręką: rzucały krzesła i różne przedmioty na wdzierających się policjantów. Zmuszeni byli w końcu użyć swych gumowych nahajek, ale kobiety tem nie odstraszyły się. Trzy lekarki sufrażystki w przyległym pokoju zajęły się rannymi kobietami, których było około 20-tu.

Kobiety następnie usiłowały przypuścić szturm do centralnej stacji policyjnej. I tam przyszło do dzikich scen, gdy policja konna i piesza zastąpiła im drogę. Panckhurstową aresztowano. W więzieniu rozpoczęła natychmiast strajk głodowy i nie przyjmuje żadnych pokarmów. O aresztowaniu tem donoszą jeszcze z Londynu: Panckhurstowa wygłaszała właśnie mowę w Glasgowie, gdy do sali wkroczyła nagle policja. Suфраżystki przyjęły policję strzałami, rzucały minjaturowymi bombami, napełnionymi kwasem siarczanym i doniczkami na głowy policjantów. Policjanci z swej strony wyciągnęli pałki i szturmem zdobyli trybunę, gdzie ukryta była Panckhurstowa, poczem dokonali aresztowania. Kilkanaście osób jest rannych, a kilku policjantów odniosło rany poważne.

W sam dzień bitwy sufrażystek w Glasgowie jedna z nich dopuściła się szalonego i brutalnego czynu. W londyńskiej galerji narodowej znajduje się słynny obraz Velasqueza „Venus z zwierciadłem“, zakupiony za pół miliona rubli z składek narodowych. Mimo czujności dozorców wtargnęła do galerji szalona niewiasta, Marja Richardson, i kilkoma błyskawicznymi uderzeniami siekierki wykonała 7 cięć, niszcząc wspaniały obraz niemal doszczętnie. Miała to być zemsta za uwięzienie pani Panckhurst, którą wandalka nazwała przed sądem „najwspanialszym charakterem historii współczesnej“. Podziwiać należy niesłychaną cierpliwość anglików, którzy tego rodzaju kobiet nie wysyłają do jakichś wysp bezludnych, gdzieby mogły do woli dać ujście swej wściekłości — bez szkody dla społeczeństwa.

Zawieje śnieżne, deszcze i powodzie nawiedziły Anglję, zachodnie Niemcy i Węgry. Wszędzie żywił mokry liczne poczynił spustoszenia.

O. Alfons Jędrzejewski, paulin jasnogórski, znakomity mówca, znany z swej pobożności i gorliwości zakonnik, opuszcza ku wielkiemu żalowi ludności Jasną Górę i udaje się z rozkazu swej władzy duchownej do Koła, gdzie obejmuje urząd rektora prastarego klasztoru bernardynów.

Z ruchu uprzemysłowienia kraju.

Kursy budowlane i mularskie, przy muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej, Chmielna 52, urządzone od lat 24 przez cech majstrów mularskich, ukończyły swego roku szkolnego pokazem prac 133 uczniów. Kursy te dzielą się na trzy lata; I rok obejmuje konstrukcję wiązań murów, perspektywę izometryczną i początki planów; II rok teorię rzutów, perspektywy i cieniów, w dziale budowniczym podstawy zasadnicze i sklepienia; III rok budowę schodów, projekty i obliczenia. Obok tego odbywa się na wszystkich trzech kursach nauka rysunków ręcznych. Przez ostatnie trzy lata prowadzili wykłady budowniczy: Józef Zawadzki, Wacław Stepowski i Mieczysław Mańkowski. W sali zebrano ogółem około 8,000 rysunków, świadczących o doskonałych postępach uczniów, zdumiewających ścisłością i pomysłowością wykonania, oraz o prawidłowej nauce nauczycieli.

Za pełną poświęcenia i zapału pracę instruktorów przy otwarciu wystawy jeden z uczniów wygłosił szczerze odczute dla nich podziękowanie.

Wobec ostatniej katastrofy budowlanej na Pradze, gdzie pod gruzami nowej kamienicy znalazło śmierć kilka osób, kursy te oraz ich wynik zasługują na najszerze uwzględnienie społeczeństwa i zawodowców.

Z piśmiennictwa.

Wł. St. Reymont. Kok 1794. Część I. Ostatni sejm Rzeczypospolitej. Powieść historyczna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Dzieło to znakomitego pisarza pozostanie w literaturze jako utwór nie tylko powieściowy. Obraz społeczeństwa, które zapracowało sobie na upadek, przedstawiono tu tak plastycznie i z taką siłą siłą moralną, że po za wszelką wartość czysto artystyczną przemawiać przez długie lata będzie do sumienia polskiego.

Figury Stanisława Augusta, biskupa Kossakowskiego, Ankwicza, senatorów i posłów sejmowych, Sieverssa i innych złowrogich doradców — stają przed nami w całej wierności historycznej. Nie mniej wiernie oddany jest ruch i życie epoki. Opis posiedzeń sejmowych, narad zaprzedańców senatorskich, balów, sielanek, dokumenty obyczajowości i moralności schyłkowej, znalazły w autorze „Ostatniego sejm“ prawdziwie skrupulatnego portreciście.

Nie bez bolesnego uczucia czyta się „Ostatni sejm Rzeczypospolitej“. Na prokrustowym łożu rozciąga Reymont winowajców epoki. Z całą siłą tego właśnie uczucia pokrzywdzonych prawników odbywa sąd nad nikczemnikami i trupami sumienia. Stają przed nami oskarżeni: upadek wiary, przedajność, zaślepienie, cynizm mężczyzn, rozwiązłość kobiet, obojętność narodowa, nikczemność czynów, faryzejstwo słów, niemoc myśli — pustynia ducha.

Mimo to nie jest „Ostatni sejm“ okrzykiem rozpacz, a to z tego powodu, że autor nawet w tym najczarniejszym okresie dziejów nie przestaje wierzyć w odrodzącą energję narodu.

„**Śpiewaka**“ numer na marzec, zawiera: Od Wydziałów Związków Kół Śpiewackich, Muzyka w Polsce, Wieszcza skrzypiec (dokończenie), Koło Śp. w Lubasz, Z życia kół i towarzystw organistowskich i Rozmaitości. „Śpiewak“ jako jedyne tego rodzaju pismo zasługuje na jak największe rozpowszechnienie.

Numerzy na okaz darmo i opł. wysyła: K. T. Barwicki—Poznań, Półwiejska 35.

„**Przewodnik biblijograficzny**“. Wszedł z druku w zwiększonej objętości (za styczeń—luty) zeszyt miesięcznika krytyczno-informacyjnego p. t. „Przewodnik biblijograficzny“, zawierający liczne recenzje, sprawozdania i artykuły.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przede wszystkim wzniosły temat i praca najslawniejszego malarza polskiego zalecają wspinać to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna” ustąpić obraz ten po cenach zniżonych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna” z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Królów Polskich”.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.



ZAGADKI.

(DLA DZIECI).

Nóg nie mam, przecież spieszę, co mi starczy mocy,
Rzucam góry, a zwiedzam niziny i morza,
Coraz dalej wciąż bieję jak we dnie tak w nocy,
A jednak swojego nie opuszczam łoża.

W jednej beczułce jednakiej treści
Płyn żółty z białym razem się miesci,
A choć beczułkę kto i potrafi
Obydwuch płynów nigdy nie zmaci.

Za rozwiązanie trafne przez dzieci obu zagadek
wyzaczyliśmy osobne dla nich nagrody w książecz-
kach odpowiednich.

Znaczenie szary z nr. 10 „Ziarna”

SARAGOSA

Dobre rozwiązania nadesłali: Karszo-Chmielewski, W. Kwiatkowski, Marja R. z Podzamcza, K. Dąbrowski z Skarżyska, Adam Kucewicz z Tuczyzna, A. Koczerginówna z Dietrznik, M. Marcinkowski, R. Kurdybanowski z Borodzianki, J. Kuc z Sokółowa, Ed. Szwarz z Dziepołci, Z. Kulesza z Słomnik, H. Majewska z Suwałk, A. Kolińska z Mrozów, H. Michalska, Sz. Mika

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

z Noworadomska, L. Roszkowska z Słucka, H. Piskorski z Pabjanic, Skwierczyński, I. Mazurkiewicz z Chełma. Nagrody książkowe wylosowano dla p. A. Kolińskiej z Mrozów i W. Kwiatkowskiego z Warszawy.

NEKROLOGJA.

Ś. p. Bronisław Radziszewski, prof. uniwersytetu lwowskiego, obywatel honorowy stolicy galicyjskiej zmarł w 75 roku życia. Urodził się w Warszawie i kształcił się w Moskwie, a następnie w Belgji. Z zawodu był chemikiem i w tej dziedzinie rozwijał swą działalność nauczycielską w Lwowie. Był członkiem Akademii umiejętności w Krakowie i lwowskim rajcą miejskim. Dla nauki polskiej niespożyte położył zasługi.

SPROSTOWANIE.

W artykule z № 11 p. t. „Gubernja Chełmska” str. 165, trzeci wiersz od góry czytaj zamiast księstwa „lubelskiego” litewskiego.

Od Administracji.

Do numeru niniejszego (12) załączamy № 6 „ŚMIECHU” dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego.

Prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał II-gi.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. I. Mazurk. w Chełmie. Wysyłka książki polecona kosztuje 20 kop. Można przesłać w markach pocztowych w liście.

WP. F. D. Sob. w Kajali. Wysyłamy komplet od 1 stycznia r. b. Za pierwsze półrocze należy się jeszcze 50 kop. bo prenumerata roczna wynosi 7 rb. Okładka albumowa do „Świątyni sławy narodowej” osobno 40 kop.

JMC. ks. Maz. w Stopn. „Skarbczyk domowy” czyli książkę pożytk. wiadomości wysyłamy, prosząc o nadesłanie w markach poczt. 25 kop. Prenumerata roczna wraz z okładką do albumu „Świątynia sławy narodowej” wynosi rb. 7,40.

WP. J. Kornat. w Grodz. Stosownie do życzenia potwierdzamy odbiór rb. 6,75.

WP. Z. Jaw. w Łodzi. Obrazy do „Świątyni sławy narodowej” są w druku, taksamo oddaliśmy już do roboty okładkę. O terminie wysyłki zawiadomimy osobno naszych czytelników.

WP. J. Ptasz. w Ostrów. Nr. 1—9 „Ziarna” wysyłamy ponownie. Z dodatków książkowych za rok 1913 mamy jeszcze „Pamiętniki Falkowskiego” i „Skarbczyk domowy” po 25 kop. wraz z przesyłką; dalej Gryfa „Na przełomie”, K. Laskowskiego (Ela) „Ekonom-tragik”, M. Domańskiej „Blaski” — w oprawie płócienną po 40 kop. W sprawie książek stolarskich zechce się WPan zgłosić do Oddziału Muzeum przemysłu i rolnictwa, Warszawa, Chmielna 13.

TREŚĆ N-ru 11.

Katechizm narodowy. — Że mam u ramion smutku skrzydła czarne... W pustyni... wiersze J. Węgleńskiego. — Nowy Jork pod śniegiem. — Gubernja Chełmska (dok.). — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włoczęgi. Myszures (c. d.). — Amilkar Cipriani. — Przeznaczenie, opowieść ormiańska (dok.). — Śp. H. Dobrzycki. — Kronika polityczna. — Z blizka i daleka. — Z ruchu przemysłowienia kraju. — Z piśmiennictwa — Królowie polscy. — Zagadki. — Nekrologja. — Sprostowanie. — Od Administracji. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. Anna Jagiellonka. — Łaszczów, ruiny kościoła jezuickiego. — Kościół franciszkanów w Zamościu. — Typy włościan z wsi Majdan księżopolski. — Modlitwa matki. — J. Munck: Po pierwszym strzale. — A. Chronow: Łosie w drodze. — Jan Matejko: Królowie polscy. — Siostry sjamskie. — Śp. H. Dobrzycki.